NUMER 18. DNIA 13. MAJA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Berło wójtowskie z Wietrzna.

Jednym z nielicznych zachowanych dotąd zabytków patrjarchalnego samorządu wiejskiego jest „wić“ a raczej berło wójtowskie z Wietrzna w pow. krośnieńskim, którego wyobrażenie obok podajemy, wraz z uwagami gospodarza Jakóba Kordysia o sposobie jego używania.



Według opowiadania p. Kordysia, urodzonego w r. 1857, „wić“ ta, zwana powszechnie „kulką“, jest bardzo stara. Babka opowiadającego, która zmarła w r. 1873, przeżywszy 84 lat, zapamiętała ją jako zabytek bardzo dawny, od 17 roku życia swojego, a więc gdzieś na samym początku XIX. wieku.

„Wić“ ta stanowiła rodzaj obesłania obnoszonego od chaty do chaty, raz w rok w „Środopościu“, gdy miano wybierać nowego wójta. Jakób Kordyś będąc małym chłopcem, sam ją z rozkazania ojców odnosił do sąsiedniej chaty, przytem miał nakazane, aby gdzie o słup nią nie trącił i nie uszkodził, bo to rzecz poświęcana. Rękojeść jej owinięta była w lnianą szmatkę domowego wyrobu.

W dzień wyboru wójta — powiada Jakób Kordyś — stary wójt rano obsyłał tę „wić“ z domu do domu, a wieczorem schodzili się gospodarze w karczmie, gdzie stary wójt trzymając to berło w ręce, zarządzał wybory, a po dokonanym wyborze oddawał je nowemu wójtowi. Po wyborze był „traktament“, gdyż nowy wójt miał obowiązek postawić 4 garnce wina na stole. W bankiecie tym brały także udział kobiety, które przynosiły ze sobą bób, prażony parą, stanowiący w tym wypadku przekąskę. „Wójtowi — jak powiada p. Kordyś — ostro nakazywano przechowywać to berło, jak jaki relikwiarz i o żaden inny majątek gminny nie dbano tak, jak o to berło“.

„Ostatnim wójtem obranym za obesłaniem tego berła był ś. p. Sebastjan Pirog. Później już nie obnoszono „kulki“, prawdopodobnie od roku 1866, kiedy to nastała konstytucja i wójtów wybierano co trzy lata“.

P. Jakób Kordyś, wybrany wójtem Wietrzna w r. 1886 i piastujący tę godność „13 lat, 3 miesięcy i 3 dni“, zarządził przechowanie tego berła, jako drogiej pamiątki gminy i dzięki temu zachowało się ono po dzień dzisiejszy.

Dwór w Niańkowie.

(Z ZIEMI NOWOGRÓDZKIEJ.)

W chwili obecnej, kiedy cała uwaga nasza zwrócona jest za kordon graniczny, kiedy okiem i duchem wpatrzeni jesteśmy w tę krwawą mgłę, w której łonie nieodgadnione, nieobjęte, głębią przepastne odbywają się rzeczy — kiedy historja ogniami piorunów wyroki pisze, a przeszłość z przyszłością na śmierć lub życie za bary się wzięły — w chwili kruszących się ołtarzy i jęku dzwonów, a huku oskardów, kujących fundamenty dla wielkiej, nieznanej świątyni, wielkiemu, nieznanemu bogu — w chwili tej krwawego snu o rannej jutrzni na starych gruzach — dziwnie mi skądś napływają echa starych pieśni, mrących akordów, jakieś niby jęki odlatujących smutnie ptaków w szary mrok, za kresy istnienia... I na ten szept, na ten odlot szumiących skrzydeł, odwracam głowę, wsłu-

chuję się w gasnące tony, patrzę za ulatującymi, a rzewna mgła przysłania mi oczy i nibym bez żalu, bez słuszności żalu, a jednak mi żal...

— — — — — — — — — — —

Jak żywy stoisz mi przed oczyma, stary dworku litewski, w obramieniu odwiecznych drzew, wtulony zrębem szarym w zbitą gąszcz ogrodu, przykryty obszernym dachem gontowym, nad którym niejednokrotnie przeciągały burze, szalały huragany zagłady, wstrząsając siedzibą do posad. Lecz tyś się ostał — wierny, cichy, a mocny — pod ręką zniszczenia ostałeś się nienaruszony i niezachwiany, pod dach twój szlachetny nie wcisnęły się jady zgnilizny, pleśnie odstępstwa ścian twoich nie tknęły i wiernie przechowałeś w zamkniętem swem wnętrzu złotą nić tej pieśni, co snuły z siebie duchy ojców dla dusz swych synów.

— — — — — — — — — — —

O zachodzie dnia jesiennego rączym kłusem rosłych koni wpadliśmy na dziedziniec marzącego pod firankami bzów Niańkowa. Wnet psów gromada, od największego do najmniejszego, porwała się ze wszystkich kątów i kręcąc się dokoła, oszczekiwała powóz, konie i nas, wysiadających z powozu. Po stopniach drobnych, gęstych, a dość stromych, które długość lat uczyniły niezbyt pod stopą pewnemi, weszliśmy na otwarty, przestronny ganek. Spojrzałam ze stopni. Dziedziniec niby duży, a zupełnie ciasny od gąszczu krzewów, drzew i kwiatów jesiennych. Jakże tu wszystko buja, jak się cieśni, jak w przepychu jedno drugie przerasta! Zdaje mi się, ręka człowieka dawno tu nie psuła naturalnego rozrostu roślin, oko gubi się w różnorodności barw zielonych i kształtów; linje łukowe, linje strzeliste, to strzępiące się pióropuszami pęków, to kłębiasto zwinięte w zwarty gąszcz, mieszają się w chaos piękna, tworzą jakieś zaczarowane zacisze, wpółprzysłonięte, a piękne.

Gdy tak stoję chwilę, tonąc oczyma, za mną otwarły się już drzwi sieni i wywołany hałasem psów, wychodzi stary sługa. Przygarbiony nieco, z białą nieosłoniętą głową, w szarej kapocie, człek ten patrzy niepewnie przez chwilę, nie poznając zrazu, aż nagle budzi mu się twarz, z siwych, zblakłych źrenic trysł płomień, skurcz płaczu przeleciał po rysach i z nieopisanym rzutem bezgranicznej wierności pochyla się do rąk pani. Raz tylko na rok ją widuje, gdy z miasta przyjeżdża w te strony z dziećmi podczas lata, nie spodziewano się dziś ich przyjazdu, pan będzie rad ogromnie i on także, bardzo, bardzo... I wita się już z młodem gronem, które go kołem otoczyło; wpół poufale, wpół pokornie, tłumiąc uśmiechy rozradowania, odpowiada na żywo krzyżujące się pytania, o zdrowiu stryjcia, o stajni, ogrodzie i t. p. Wszystko to trwa krótko, ale w tej jednej chwili ogarnęło już nas ciepło serdecznego powitania i z tem poczuciem pożądanego przybycia przekraczamy próg domu.

Wchodzimy do obszernej, wygodnej sieni, tej tradycyjnej sieni litewskich dworów, która bardziej, niż wiele innych pokojów, zasługuje na zwrócenie na nią baczniejszej uwagi. Nigdzie się tak może nie zatrzymała tradycja, stary zwyczaj, jak w tem przedprożu mieszkania. Sień taka nie ma nic zgoła z etykietalnego chłodu lokajskich przedpokojów, natomiast jest skarbnicą co szacowniejszego dobytku, nieraz od kilku pokoleń przechowanego. Stoją tu kufry sklepione, pełne odzieży i płócien, szafy tak wielkie, jak całe pokoje z futrami, płaszczami; u ścian rozłożyste rogi jelenie i łosie, nierzadko na nich bujne wieńce dożynkowe przechowane od lat paru. Gdzieś w kącie złożone dery, koce, siatki na konie, wilczury, niekiedy nawet burym włosem zjeży się „niedźwiednia“ na sanie, zaopatrzona w potężne szpony niedźwiedzia. W sieni takiej niejednokrotnie w skwarne dni letnie otwierają się na ścieżaj drzwi wchodowe, ustawia się stół jadalny i cała rodzina przenosi tu czasowo swe chwile posiłku, w chłódku, w półcieniu, w obec rozpostartej panoramy słonecznej pól i łąk, i kipiącej na nich roboty letniej.

Lecz oto już zrzuciliśmy okrycia, strzepnęli kurz z drogi, stary sługa z pochyleniem głowy szeroko drzwi przed nami otwiera.

Nigdy nie zapomnę pierwszego widoku sali Niańkowa. Kędyś, z jakichś dawnych fal czasu — nie wiem, skąd bijących — czy z tych węgłów wpółzmierzchnych, czy z pod nizkiego sufitu, czy od okien, gęsto kratowanych, wpół otwartych na ogród — powiało na nas, wchodzących jeszcze, tchnieniem jakby przeszłości zagasłej, jakby życiem ubiegłych stuleci, w jakiś sen dziwny zaklętem. Zdało mi się, że ci, co tu byli, już dawno stąd odeszli, a my tu wchodzimy do świątnicy ich wspomnień, do relikwiarza ich bytu. A jednocześnie wszystko tu było tak znane, takie swojskie, że niemal drogie. Zdało mi się, że każdy z tych sprzętów już kiedyś, bardzo, bardzo dawno, widziałam nieraz i lubiłam. A wszystko tu było stylowo niemal dopadające do siebie i charakterystyczne. Nawet gdzieniegdzie umieszczone sprzęty współczesne nie raziły odrębnością, a zlewały się z atmosferą dawnych czasów, upodobniały się z otoczeniem, jak dobrze dopasowany strój rycerza czy habit zakonnika. Podłoga biała, niemalowana, lśniła się od

czystości, linje długich desek biegły równiutko w obie strony, zwiększając wrażenie przestrzenności.

Wzdłuż długich ścian bielonych stały krzesła staroświeckiej roboty, wygodne, z obiciem na włosieniu; stały tak nieruchomo i równo, jakby całe stulecie nietknięte tak przebyły. Była tu i nieodzowna wielka kanapa z fotelami i stół przed nią okrągły i jeszcze inne stoły, stoliki, konsole, obrzucone przejrzystemi siatkami; przed zwierciadłem i na stolikach lampy, świeczniki, ozdobne drobiazgi — a wszystko to pełne dziwnych jakichś wieszadełek, podstawek paciorkowych, przyozdobień, których już dziś nigdzie nie widać — jakże wyraźnie mówiły o tych długich jesiennych wieczorach, kiedy nad krosnami chyliły się wiotkie postacie niewieście, a miękkie, białe paluszki dziergały nić jedwabną, nizały lśniące perełki. W rogu ogromnej sali tonął prawie staroświecki fortepian z palisandru, zamknięty i niemy, jakby umarła już ta pieśń stara, która tu niegdyś, w dawne dni dźwięczała — może nadzieją i weselem. Nad fortepianem i na innych ścianach stare portrety z ciemni tła patrzyły blademi twarzami i zadumanemi oczyma.

Półmrok napływał do sali. Pachniało tu ciszą niezamąconą, czystością i jakiemś ukołysaniem zamyślenia, nie martwem wszakże i nie stężałem, lecz w którem głosy jakieś szeptem wołały, dźwięczały cicho nazywane, uchem nieuchwytne imiona, snuły się mgłą pasma złote i pasma purpury, wzdychały echa jakichś dziejów i pieśni rozstań i pieśni opustoszenia.

Przez okna, z gąszczu ogrodu wpływały niby westchnienia, niby wpółwyczuwalne wonie późnych kwiatów, mrących liści, ros jesiennych, wilgłych, osnutych mgłą.

Długo nam jednak dumać nie dano. Otwarły się drzwi boczne i nowa postać zbliżać się ku nam zaczęła. Moje oczy krótkowidza przy zapadającym zmierzchu z daleka rysów twarzy rozróżnić nie potrafiły, doznałam tylko wrażenia, że zbliża się ku nam jakaś gołębiość biała, uanielenie tak ciche i czyste, że aż niemal dziecięce. Była to szczupła, niewielkiego wzrostu staruszka, w skromnej, ciemnej odzieży, w białej chusteczce na białych, jak mleko, włosach. Powitała nas ruchem otwierających się ramion i słodyczą radośnego uśmiechu. To także stara sługa starego domu. Wychowała dwa pokolenia, teraz trzecie w oczach jej podrasta. Jest chodzącą tradycją ich dziejów, zna i pamięta takie rzeczy, o których oni sami już zapomnieli i zapytana, w wątpliwych czy sprzecznych wspomnieniach nie myli się nigdy. Historję każdego z członków tej licznej rodziny, na przeciąg dwóch pokoleń, przeżyła, rzec można, własnem sercem, własną krwią. Pieszczotliwemi imionami nazywa ludzi, którym już nimb srebra, lub powaga niepowszednich zasług czoła pokryły. Osobiste zaś jej życie, osobiste radości i smutki, prace i zasługi roztopiły się niejako w zbiorowem życiu „domu“. Słodka, cicha, a kochająca — gdym ją słyszała mówiącą, gdym ją słyszała pytającą z uśmiechem, odpowiadającą z westchnieniem, a nadewszystko, gdym ją słyszała wspominającą, z jakiemś rzewnem, a głębokiem, w dal odległą utkwionem spojrzeniem — wydała mi się duchem-stróżem tych węgłów, raczej żyjącą duszą domu.

Oczy z trudem odbiegały od jej postaci, od jej twarzy, nie chciało się rozstać z jej głosem, słodkim a cichym, jak modlitwa.

Ale gościnność litewska nie pozwoliła jej długo zabawiać nas gawędką; wybiegła przygotować wieczorny posiłek, a towarzystwo nasze rozsypało się po całym domu, po ogrodzie, po dalszych folwarcznych dziedzińcach i gospodarskich zakątkach. Ja należałam do tych, co zeszli do ogrodu.

Lubię stare, zapuszczone nieco ogrody. Cienie tam mocniejsze, cisze głębsze; są tam gąszcze, w których tai się zaduma... Wśród korzeni drzew wyrastają tam wiotkie łodygi jakichś bladych, z cieni leśnych zabłąkanych kwiatów; w złote południa, w plamach słońca kołyszą się sennie na przeźroczystych skrzydłach jakieś owady, otrute wonią wilgłych roślin, nie chcą się rozstąpić, a odpędzone, wracają znowu na to samo miejsce, do swego tańca, wolnego, upojonego. Spodem, z pod stosu uschłych gałęzi wymyka się jaszczurka i szybko przebiega piasek alei; — lub jakieś drobne stworzonka, których nie znam, gromadkami wybiegają o zmierzchu na śliskie, omszałe ścieżki, a za zbliżeniem się rozsypują się i nikną z błyskawicznością złudy.

(Dok. nast.)

Wanda Dalecka.

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy.)

Przez całe 12 godzin jesteśmy pod opieką dziennego strażnika. Nasz zwie się Kudlik. On dostarcza nam wody gorącej do herbaty, potem przynosi śniadanie i obiad, a potem znów wodę gorącą. Więzień dostaje od władzy śniadanie i obiad oraz

ćwierć bochenka czarnego chleba, resztę o ile da pieniądze. Porządek w celi robi sam więzień, na korytarzu wszelkie usługi spełnia posługacz więzienny, złodziej. Strażnik wydaje mu tylko rozkazy, sam, prócz otwierania drzwi celi, nie tknie żadnej roboty. To przecie dygnitarz państwa. O szóstej nowa ceremonja, przychodzi starszy, ogólny dozorca, p. starszy. Strażnik otwiera drzwi każdej celi, pan starszy zagląda do środka i zamyka je. P. starszy załatwia wszelkie żądania więźniów, jest on już starszym opiekunem. Dzień więzienny skończony. Teraz już nikt, na żadne prośby i wołania, celi nie otworzy. Obaj strażnicy odchodzą, przychodzi nowy stróż. O siódmej roznoszą światło, a raczej stawiają przy drzwiach cel lampki, otwierają drzwi i wołają: „Łampu woźmitie“.

Są jednak tak uprzejmi niektórzy, iż podnoszą lampę i podają ją. Lampy mamy do dziesiątej, o tej godzinie zjawia się trzech: pomocnik naczelnika więzienia i dwóch strażników. Wszystko to wkracza do celi i zabiera lampę. W nocy nie wolno mieć światła, nawet zapałek, całe szczęście, iż noce obecnie są jasne i że z korytarza wchodzi nieco światła, nie jest się więc w zupełnej ciemności. Umartwienie to jednak wielkie, nie mieć światła podczas bez końca długich nocy. O dwunastej zmiana strażnika. Tym razem jednak nie wchodzi nikt do celi, tylko nowo przychodzący targa za klamki u drzwi celi (ogromnie miły wynalazek), próbując, czy dobrze zamknięte.

O drugiej w nocy znowu drzwi się otwierają i znowu wtłaczają się trzy duchy z latarnią do celi. Tu naturalnie zależy wszystko od subtelności strażników: niektórzy otwierają tylko drzwi, inni wsuwają latarnię, inni wchodzą aż na środek celi z latarnią w ręku. Potem już do szóstej spokój. Taki jest porządek doby więziennej; — poza tem w każdej chwili pod rozmaitymi pozorami strażnik zagląda przez okienko do celi, lub wchodzi do więźnia. Od wczoraj o szóstej wieczór zasłaniam otwór w drzwiach papierem i odsłaniam dopiero, gdym już ubrana; dotąd nikt na to uwagi nie zwrócił. Ciekawam, czy mi to długo pozwolą robić. Zawsze choć przez kilka godzin wieczorem i rano jestem przez to swobodniejszą. W nocy nikt do mnie nie zagląda, nerwy więc trochę odpoczywają, nie czując na sobie pełzających żółtych źrenic stróża.

(C. d. n.)

Autonomja i Federalizm.

(Kulczycki Ludwik: Autonomja i Federalizm w ustroju państw konstytucyjnych. Pol. Tow. Nakł. Lwów 1906 r.)

Autoreferat.

II.

Często spotkać się można z twierdzeniem, że rozwój kapitalizmu sprzeczny jest z rozwojem autonomji. Twierdzenie to wysuwali nieraz członkowie Soc. Dem. Kr. P., zwalczając szeroką autonomję polityczną dla Król. Pol. Pogląd powyższy nie wytrzymuje krytyki. Nowożytne państwo kapitalistyczne potrzebuje centralizacji tylko w pewnym, jak zaznaczyłem wyżej, zakresie. Fakty ze współczesnego życia politycznego dowodzą, że kapitalizm godzi się doskonale nie tylko z ustrojem politycznym, opartym na szerokiej autonomji poszczególnych części państwa, ale nawet z federalizmem, będącym wyrazem najdalej idącej decentralizacji...

Pomimo potężnego rozwoju kapitalizmu w Wielkiej Brytanji, stosunek kolonji do metropolji zmieniał się w niej w wieku XIX. w kierunku coraz większej decentralizacji.

Prawda, w czasach ostatnich czuć się daje potrzeba zbliżenia wszystkich kolonij między sobą i metropolją, ale zbliżenie to, o ile nastąpi, nosić będzie cechy federacji, która pozostawi poszczególnym swym częściom jak najszerszy zakres samodzielności.

W monarchji Austro-Węgierskiej pomimo rozwoju kapitalizmu, dążności decentralistyczne nie tylko że nie słabną, lecz potężnieją, i niezawodnie jedynie racjonalnem wyjściem dla niej z kryzysu wewnętrznego jest: federalizm, oparty na demokratycznym parlamencie centralnym, oraz na podobnych sejmach w poszczególnych krajach.

Stany Zjednoczone A. P. łączą doskonale rozwój nader szybki kapitalizmu z federalizmem; wprawdzie od czasów ogłoszenia konstytucji amerykańskiej w końcu XVIII w. przeprowadzono w niej 15 poprawek, między któremi są takie, co wyrażają tendencje centralistyczne, ale tendencje te ujawniają się tylko w zakresie niektórych tylko spraw; natomiast zasada sama federalizmu została nienaruszoną, i trudno nawet wyobrazić sobie przyczyny, któreby w przyszłości bliższej czy też nawet dalszej mogły skłonić mieszkańców Stanów Zjednoczonych A. P. do zmienienia swojej konstytucji w duchu ścisłego centralizmu.

W Australji, w której życie nowożytne rozwija się tak bujnie we wszystkich kierunkach — federa-

lizm osiąga ciągłe tryumfy. Tak więc fakty zaprzeczają teorji Soc. Dem. Kr. P. i L. i dowodzą, że wymagania współczesnego ustroju gospodarczego godzą się zupełnie z ustrojem autonomicznym, a nawet z federalizmem. Ma on ogromnie doniosłą ideę nie tylko w dziedzinie stosunków wewnętrznych, lecz i zewnętrznych i jeżeli w stosunkach wewnętrznych państw federalizm stanie się formą panującą powszechnie, to łatwiej będzie regulować sprawy międzynarodowe na jego podstawie; wtedy bowiem wszelkie spory terytorjalne międzypaństwowe rozstrzygać będzie można według woli mieszkańców poszczególnych części państwa, stanowiących sporne terytorja.

Unje, osobista i realna, jako formy ustroju prawno-państwowego, nie odpowiadają wymaganiom państwa nowożytnego. Federalizm, pomimo pozostawienia zupełnej wewnętrznej samodzielności poszczególnym częściom państwa, zapewnia w sprawach całego państwa, w jego stosunkach, jednolitość akcji politycznej i sprężystość. Unje państwowe, opierające się na umowach ciągłych, osłabiają siłę państwa na zewnątrz. Z drugiej strony, skutkiem demokratyzacji społeczeństwa, związek państwowy, oparty tylko na posiadaniu wspólnego monarchy — nie ma trwałych podstaw.

W kwestji stosunku Król. Pol. do Rosji sądzę, że rozpatrywać go należy i można tylko na tle ogólnych przekształceń jej ustroju prawno-państwowego. Rosja jest państwem wielkiem, złożonem z części różnorodnych, różniących się bardzo między sobą pod wieloma względami. Najodpowiedniejszym ustrojem dla niej i najdogodniejszym dla krajów z nią złączonych byłby federalizm. Przejście jednak bezpośrednie do niego od dzisiejszego krańcowo centralistycznego ustroju jest nader trudnem i mało prawdopodobnem, tembardziej, że nie wszystkie części składowe państwa rosyjskiego, posiadające warunki do wyodrębnienia się — posiadają dziś dość silną tendencję odśrodkową. Prawdopodobnie niedogodności wspólnego prawodawstwa dla tak rozległego terytorjum, jakie ma Rosja, uwidocznią się w przyszłości; sami Rosjanie, w interesach kultury poszczególnych, wyżej w cywilizacji posuniętych części swej ojczyzny — zechcą ją przeobrazić na federację, podobną Stanom Zjednoczonym.

Zanim to jednak nastąpi, trudno będzie, aby samo tylko Król. Pol. związanem było z Rosją węzłem federacji. Stojąc więc na gruncie polityki trzeźwej, w chwili obecnej można i należy żądać dla Król. Pol. zupełnej autonomji politycznej, w sprawach wewnętrznych. Sprawy wojskowe, zagraniczne, handlowo-cłowe, ustawodawstwo ogólne, dotyczące kolei żelaznych, poczt i telegrafów, należy pozostawić parlamentowi centralnemu, w skład którego wchodzić powinni i posłowie z Królestwa Polskiego.

Unja osobista albo realna tego ostatniego z Rosją jest utopją, gdyż nie tylko rząd, ale i społeczeństwo rosyjskie na nią się nie zgodzi; ale co ważniejsza, nie leży ona też i w interesie narodu polskiego. Przy niej nie mieliby Polacy żadnego wpływu na sprawy ogólno państwowe; natomiast fakt posiadania wspólnego panującego uzależniałby Król. Pol. od Rosji, tembardziej, że siły tej ostatniej przewyższają siły pierwszego. Unja osobista albo realna może jeszcze jako tako odpowiadać interesom państw, przez nią złączonych, gdy są one prawie równej siły, ale nie w innych warunkach. W parlamencie ogólno-rosyjskim przez sojusze z innemi partjami, posłowie z Król. Pol. zdobyć będą mogli wpływ poważny.

L. Kulczycki

Męczennicy z Manczestru.

Ustęp z dziejów fenianizmu w Irlandji.

IV.

Dnia 28. października 1867 roku rozpoczął się sąd nad pięcioma więźniami. Sprawa podlegała jurysdykcji sądu przysięgłych. Dwunastu obywateli przysięgło, że sądzić będą według nieskalanego żadną namiętnością lub nienawiścią sumienia. Szło więc o to, by odpowiedzieć, czy więźniowie dopuścili się rozmyślnego zabójstwa kaprala Bretta.

Podczas rozprawy sądowej wyszło na jaw, że napastujący wóz więzienny strzelali w powietrze, że w żadnego z policjantów nie godzono. Świadkowie, pomimo swego wrogiego i namiętnie stronniczego składania zeznań, opowiadali, że wystrzał z rewolweru, który zabił Bretta, nie był wcale wymierzony przeciw kapralowi, a że szło napastującym tylko o wysadzenie zamku drzwi, okutych w żelazo. O Allenie mówiono tylko, że to on, po otworzeniu drzwi, pierwszy wszedł do wozu więziennego, ale żaden świadek nie widział, by Allen lub którykolwiek z oskarżonych dał fatalny wystrzał. Jasnem było z zeznań świadków, że zabójstwo Bretta było

wypadkiem tylko i że ono nie było ani planowanem, ani nawet pożądanem przez napastników.

Ale prawo angielskie ma tradycję teoretyczną tak zwanego wyrozumowanego *(constructive)* morderstwa. Jeden z sędziów angielskich w XVII. wieku wykładał, że, jeśli przy popełnianiu jakiejś zbrodni następuje, choćby przypadkowo i nieprzewidzianie, śmierć, to autor zbrodni jest jednocześnie mordercą. I sędzia ten daje jako przykład następującą hypotezę: Paweł chce ukraść kurę w ogrodzie prywatnym. Strzela do kury i nie wiedząc wcale o tem, że gospodarz jest w krzakach, zabija przypadkowo gospodarza wystrzałem, mierzonym w kurę. Paweł — tłumaczy sędzia Forster z XVII. wieku — jest winien morderstwa i powinien być powieszonym, bo kradzież kury w owe czasy była zbrodnią. Taki pogląd pozostał w spuściźnie po mędrkującym sędzi z XVII. wieku, ale pogląd ten nie był ujęty w żadne sformułowanie prawne.

W Manczestrze sędzia prezydujący dał przysięgłym pouczenie prawne w duchu zasad z XVII. wieku. Oskarżeni, chcąc odbić więźniów, popełnili zbrodnię i podczas wykonywania tej zbrodni kapral Brett był zabitym. A zatem — pouczano przysięgłych — jeżeli sądzicie, że oskarżeni brali udział przy napaści na wóz więzienny, musicie ich uznać winnymi mordu, dokonanego na osobie Bretta.

I dwunastu przysięgłych uznało pięciu podsądnych winnymi zbrodni morderstwa. Wtedy sędzia przewodniczący nałożył na swą perukę czarną czapeczkę, którą zwykle przywdziewają przy wyrokach na śmierć, i zapytał oskarżonych, co mają do powiedzenia na swą obronę.

Wystąpił pierwszy Allen i rzekł: „Nikt w tej sali szczerzej odemnie nie odczuwa żalu z powodu śmierci kaprala Bretta. W obliczu Wszechmogącego i wiecznie żyjącego Boga oświadczam, że jestem niewinny jej, również niewinny tej śmierci, jak wszyscy tu w tej sali obecni. I mówię te słowa nie dlatego, by zdobyć łaskę lub litość: ja nie pragnę łaski, ja nie chcę łaski. Pójdę na śmierć, jak wiele tysięcy szło przedemną składać swe życie w obronie ojczyzny ukochanej“.

Niemniej wymownym był oskarżony Condon. „Nie chcę — mówił on — wnosić skargi przeciw przysięgłym, ale w mojem przekonaniu są oni uprzedzeni. Nie oskarżam ich o to, że z rozmysłem fałszywie nas zasądzili, ale mówię, że to uprzedzenie doprowadziło ich do tego kroku, któregoby nie zrobili, gdyby byli ducha spokojnego. A więc uznano nas za winnych i teraz mamy przyjąć z rąk waszych wyrok śmierci. Nie obawiamy się śmierci — przynajmniej co do mnie, mogę powiedzieć, że ja nie mam lęku przed śmiercią...“

„Ani ja“ — przerwał Allen.

„Ani ja“ — powtarzali po kolei silnym głosem trzej inni oskarżeni.

„Chcę wszakże wierzyć — ciągnął dalej Condon — że ci, których macie sądzić po nas, gdy krew nasza zaspokoi istniejące w kraju tym pragnienie krwi, doczekają się sądu spokojniejszego i bardziej sprawiedliwego. Zresztą, panowie, nie czuję żadnej skruchy, nie żałuję niczego i nie cofam niczego. To tylko jeszcze chcę powiedzieć: Boże, zbaw Irlandję“.

Zaledwie Condon wymówił te słowa, a wszyscy oskarżeni, jak gdyby poruszeni iskrą elektryczną, zerwali się ze swych miejsc, wystąpili naprzód i wzniósłszy ręce do góry, głosem, pełnym powagi i rzewności, zawołali chórem: „Boże, zbaw Irlandję!“

Tak stało pięciu biednych synów Erinu, pięciu nieszczęśliwych rolników wywłaszczonych, których głód wygnał do największego ogniska fabrycznego, pięciu biedaków, ale tak bogatych duchem i wiarą w obec całej, potężnej, spanoszonej Anglji! W odpowiedzi na te słowa skromne, ale pełne prawdy i uczucia, sędzia królewski w imieniu Anglji wydał pięć wyroków śmierci.

W kilka dni po wyroku okazało się, że Maguire wcale nie należał do fenianów, że był on irlandczykiem wprawdzie, ale w wyzwoleniu więźniów nie brał udziału. Był to stary marynarz, ale jako irlandczyk miłował swój kraj i był winnym tylko tego, że będąc w tłumie, nie chciał działać przeciw swym ziomkom. Okazało się — mówimy — że świadkowie łgali i krzywoprzysięgali. Rząd był zmuszony ułaskawić Maguire'a i wypuścić go na swobodę. Okazało się dalej, że co do Condona mnóstwo fałszywych było zeznań. Karę Condonowi zamieniono na ciężkie roboty.

Otóż ci sami fałszywi świadkowie byli oskarżycielami pozostałych więźniów. Powstał więc poseł John Bright (czytaj Dżon Brajt) i żądał zniesienia wyroku niesprawiedliwego. Powstało — jakkolwiek bardzo nieśmiało — kilku sędziów, kwestjonując wyrozumowane pojęcie mordu, ale w kraju żądano krwi, jak to słusznie zauważył Condon. Postanowiono więc powiesić Allena, O'Briena i Larkina — dnia 23. listopada 1867.

Już w nocy dnia 22. listopada zgromadził się tłum olbrzymi przed więzieniem w Salford. Rząd był zatrwożony. Do wszystkich miast przemy-

słowych, gdzie byli irlandczycy, wprowadzono załogi, ale za to pozwolono w Salfordzie na orgje bezecne tłumu rozbestwionego. Przez całą noc tłuszcza pijana stała przed murami więziennymi, wznosząc przeciw zasądzonym okrzyki potępienia i przez całą noc śpiewano hymny na cześć królowej Wiktorji. Śpiewano „Niechaj Britannia panuje“, śpiewano pieśni komiczne i sprośne, a przy akompaniamencie tych pieśni tańczono, ryczano i bawiono się w sposób wyuzdany.

Nadszedł poranek 23. listopada. W murach więziennych kaci wyprowadzali na miejsce stracenia trzech męczenników sprawy irlandzkiej. Na przodzie szedł młodziutki Allen, o oku śmiałem i obliczu bladem, za nim Larkin a O'Brien zamykał pochód. Gdy kaci zbliżyli się i nałożyli na zasądzonych powrozy mordercze — ofiary sprawiedliwości angielskiej rzuciły się w objęcia i pożegnały się uściskiem braterskim.

Wkrótce potem na murach więzienia nalepiono ogłoszenie o wykonaniu wyroku śmierci. Tłum zakrzyknął h u r r a h i oklaskami zaznaczał zwycięstwo bestji nad człowiekiem.

Innym był nastrój Irlandji, gdy wiadomość o śmierci trzech bohaterów doszła do wyspy zielonej. Wicekról irlandzki, jak gdyby chciał urągać ludności, podał następujący szczegół: „Ciała tych trzech morderców przykryto wapnem i pochowano w podwórzu więziennem w miejscu niepoświęconem“. Jeżeli rząd sądził, że to znęcanie się upokorzy ludność — to musiał on wkrótce przekonać się, iż ducha nie można bezkarnie obrażać. W całym kraju ogłoszono żałobę, we wszystkich kościołach odprawiano msze i nabożeństwa żałobne. W miastach zaś zdecydowano urządzać uroczyste manifestacje pogrzebowe. W Dublinie orszak żałobny złożony był z 60.000 ludzi, a ulice miasta były pokryte tłumem stotysięcznym.

I znowu zakipiała krew szowinistów angielskich. Prasa domagała się zakazania manifestacyj. Rząd począł więzić organizatorów pogrzebów manifestacyjnych, ale dzień 23. listopada do dziś dnia pozostał dniem żałoby narodowej.

* * *

We dwa lata później Gladstone przyszedł do władzy i zniósł w Irlandji panowanie kościoła protestanckiego. W 1870 roku Gladstone zainaugurował pierwszą reformę agrarną dla Irlandji. I ten wielki mąż stanu nie wahał się powiedzieć otwarcie i publicznie, że to zamachy fenianów skierowały jego uwagę ku sprawom irlandzkim. Tak jest! Męczennicy manczesterscy wywołali podziw tego chłodnego, zimnego, ale sprawiedliwego męża stanu. Gdy widział on tych bezbronnych bohaterów, idących do walki z siłą nierówną, zbrojnych przytem w taką wiarę, zasobnych w takie bogactwo zapału — Gladstone był, jak piorunem rażony i zapytał sam siebie: po czyjej stronie sprawiedliwość!

Wtedy uderzył się on w piersi, wyznał głośno winę Anglji wobec Irlandji i stał się rzecznikiem sprawiedliwych w Erinie rządów!

S. M.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Stanisław Brzozowski: Logika, Książki dla wszystkich, Warszawa, nakładem i drukiem M. Arcta 1905, napisał...

Wincenty Lutosławski: Logika ogólna czyli teorja poznania i logika formalna, nakładem Wszechnicy Mickiewicza w Londynie... Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. w Krakowie 1906.

Dwa podręczniki logiki prawie równocześnie — to w naszej literaturze filozoficznej prawdziwe zdarzenie dnia; jest ona bowiem stosunkowo do bogatej literatury innych dziedzin tak ubogą, że przychodzi nam nieraz chętka uwierzyć w te znane i nadużywane zdania, iż Polacy do ścisłych badań filozoficznych ani chęci ani talentu nie mają. Mimo to literatura filozoficzna w naszym kraju istnieje, istnieje również założone przez prof. Kazimierza Twardowskiego pierwsze „Polskie Towarzystwo filozoficzne“, skupiające w sobie grono fachowych ludzi, których zadaniem jest podnieść poziom kultury filozoficznej w kraju i szeregiem odczytów i wykładów wzbudzić w szerszych masach zainteresowanie do filozofji. Że to zainteresowanie stale wzrasta, czy to dzięki oddziaływaniu Towarzystwa filozoficznego, czy to dzięki prądowi czasu, widać ze wzmożonego ruchu księgarskiego na tem polu.

Łatwo zrozumieć, że wartość tych dzieł nie zawsze stoi w prostym stosunku do ich ilości. W wielu wypad-

kach brak tym dziełom należytej ścisłości, pożądanej jasności lub przejrzystego układu. Wzorowemi nie są również i dzieła wymienionych w nagłówku autorów.

Pan Stanisław Brzozowski postanowił uprzystępnić logikę szerszym masom i napisać podręcznik w całem słowa tego znaczeniu popularny. Książkę swoją przeznacza dla tych, którzy dotychczas n i c z zakresu logiki nie czytali; stara się podać czytelnikom „logikę powszedniego życia“ (str. 4) tj. taką, „aby każdy ją rozumiał i każdy spostrzegał, że reguły jej mogą być z pożytkiem stosowane na każdym kroku“.

P. Stanisław Brzozowski dzieli cały materjał na dwie części: 1) Logika formalna, czyli logika konsekwentnego myślenia 2) Logika indukcyjna, czyli logika poznawania. Obie części napisane zrozumiale i przystępnie, oparte na dobrze obranym materjale historycznym. Inna sprawa, czy słusznie postąpił sobie autor, przeciwstawiając logikę formalną logice indukcyjnej, czyli logikę konsekwentnego myślenia logice poznawania. Przecież indukcja da się również traktować formalnie, w oderwaniu od materjalnej prawdziwości sądów, a logika poznawania (indukcja) musi być zarazem logiką konsekwentnego myślenia, bo niekonsekwentna indukcja nie przedstawia żadnej logicznej wartości. Powinien był przeto autor o indukcji mówić w tej części dziełka, gdzie mówił i o syllogizmie, osobny zaś rozdział poświęcić metodzie badań naukowych.

Najważniejszym zarzutem, jaki czynimy autorowi omawianego dziełka, jest to, że idąc przestarzałą metodą, miesza analizę logiczną z analizą gramatyczną. Nie zaznaczając jasno, że w logice chodzi właściwie o sądy, analizuje autor zdania i wyrazy. Stąd mogłoby się wyrodzić w czytelnikach najniesłuszniejsze przekonanie, że logika rozpatruje w s z y s t k i e r o d z a j e z d a ń. Tymczasem i sam autor na to się zgodzi, że zdania wyrażające pytania lub rozkaz, do zakresu logiki nie należą, że należą do niej tylko zdania, wyrażające t w i e r d z e n i e lub p r z e c z e n i e.

Logika rozpatruje związki między sądami, a zdaniami zajmuje się o tyle, o ile w nich sądy się w y r a ż a j ą. Tymczasem autor zastanawia się nad związkami między z d a n i a m i. Z tego nieporozumienia wynikły i inne; ten błąd tkwi w definicji r o z u m o w a n i a, podanej przez autora na str. 19, które ma być „s z e r e g i e m z d a ń wymawianych lub tylko pomyślanych tak, że każde następne wypływa z poprzedzającego“; ten sam błąd tkwi w ogólniku na str. 53., że „każda książka, każdy artykuł gazety, każde przemówienie jest rozumowaniem“. Tymczasem każdy nieuprzedzony przyzna, że rozumowanie jest raczej pewną c z y n n o ś c i ą d u c h o w ą człowieka, niż artykułem, albo przemówieniem.

Trzeba jednak przyznać autorowi, że potrzebę logicznego myślenia w codziennych sprawach życia uzasadnił bardzo dobrze i bardzo przystępnie na str. 10, 11 i 12-tej, posługując się łatwymi i zrozumiałymi przykładami. Natomiast razi bardzo pobieżność, z jaką traktował autor zasadę tożsamości, zasadę sprzeczności i wyłączonego środka. Brak zupełny definicji tych zasad. Ani słowem również nie wspomina autor o stosunku racji do następstwa, który jest osią całego myślenia logicznego; tam zaś, gdzieby ten stosunek stwierdzić należało, np. przy rozumowaniu, mówi autor mętnie o wypływaniu następnego zdania (sic!) z poprzedzającego (str. 19).

Mętnym jest również ustęp o wyrazach i pojęciach. Pojęcie, według autora, jest „zbiorowością cech“ str. 24., dwie stronice dalej (27) rozumie autor przez „zbiorowość cech“ treść pojęcia. Jest to nie tylko niedokładność, ale i wprowadzająca czytelników w błąd sprzeczność, bo p o j ę c i e a t r e ś ć p o j ę c i a to są przecież różne rzeczy. Ustęp o „rodzaju“ i „gatunku“ o „pojęciach współrzędnych i podrzędnych“ jest jasny i zrozumiały.

W rozdziale o s ą d z i e nie widzimy również dokładnego zrozumienia różnicy między sądem a zdaniem. Na str. 36 powiada autor, że zdanie jest „właściwą jednostką logiczną myślenia“, a zaraz na str. 37 dowiadujemy się, że zdanie jest w y r a z e m sądu. Więc wypadałoby, że chyba s ą d jest jednostką logiczną myślenia! W kwestji sądów jest autor zwolennikiem przestarzałej teorji allogenetycznej — ale nie zupełnie prawowiernym. S ą d jestto (według autora) „porównanie dwóch pojęć i skonstatowanie ich zgody lub niezgody“; zwolennicy zaś allogenetycznej teorji opierają sąd na łączeniu przedstawień. Ci ostatni są ostrożniejsi od autora, bo jego „porównania“ i „skonstatowania“ — to przecież cały kompleks najróżnorodniejszych czynności umysłowych, które zawierają w sobie c a ł e s z e r e g i sądów.

W rozdziale o „wnioskowaniu bezpośredniem“ wymienia autor tylko wnioskowanie na podstawie o d w r ó c e n i a i s p r z e c z n o ś c i; o innych bardzo ważnych formach wnioskowania bezpośredniego nie wspomina. Jest również autor gorącym zwolennikiem t. zw. „wnioskowania nieświadomego“, które nie jest żadnem wnioskowaniem, ale po prostu kojarzeniem zjawisk psychicznych ze sobą, albo z pewnymi ruchami.

Nauka o syllogizmie przedstawiona n a o g ó ł przystępnie i dobrze. Teraz miałbym tylko kilka uwag natury ogólniejszej. W każdym podręczniku logiki powinno się znaleść dokładne odróżnienie między rozumowaniem, wnioskowaniem a dowodzeniem. A tego autor nie uczynił. Przedewszystkiem chodziłoby nam o rozumowanie, które się mieści i we wnioskowaniu i dowodzeniu. Następnie wypadałoby przy każdem prawie logicznem podać dokładną jego definicję i trzymać się jej stale przez cały ciąg dzieła. Styl powinien być mniej obrazowy, a więcej ścisły. Tego rodzaju ogólniki, jak na str. 53 lub 46, wprowadzają często w błąd. Mimo jednak te wszystkie usterki, książeczka p. Brzozowskiego posiada jasność przedstawienia tak pożądaną we wszystkich wydawnictwach popularnych, styl niewyszukany i dobrze przedstawioną naukę o syllogizmie; spełnia przeto zadanie, jakie autor sobie postawił.

T. M.

(Dok. nast.)

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.